№ 33.

WARSZAWA DNIA $\frac{7}{19}$ Sierpnia 1865 R.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

LUDGARDA.

OBRAZEK

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

II.

(*Dalszy ciąg.*)



Prawda! — bardzo śliczna! — powtórzyła pani Karolina znowu — ale, proszę was, moje panie, ubiór ten, jakkolwiek ma przeszło lat sto, wcale jest do dzisiejszego podobny.

— Bo też strój do konnéj jazdy, *en amazone*, małéj tylko podledz może zmianie — ozwała się pani Chrząstowiczowa — stanik przyległy, rękawy wązkie, spódnica szeroka i długa, to zawsze tak samo. A kapelusik okrągły, i z piórami, albo bez piór. Mam portret bratowéj Ludwika XIV, *Madame Henriette d'Angleterre*, w amazonce brązowéj, jakby dzisiejszego kroju, z guzikami białemi, i w kapelusiku popielatym z zielonem piórem.

— Ah, jak ładnie! — zawołała Milka — Nie! powtórzyło echo któregoś zakątka, że panna aż obróciła się lękliwie.

— Kapelusiki, jak ten na tym tu obrazie, są i dzisiaj w modzie — ozwała się Tecia stłumionym głosem.

— Bo z modą tak się dzieje — zaśmiał się kapitan: Asmodeusz siedzi na wielkiéj skrzyni, do któréj służba jego szatańskiéj mości składa z mody wyszłe suknie, a pan wszechwładny wyciąga z pod siebie zawsze od spodu ostatnią i rzuca ją światu eleganckiemu, jako modę najświeższą, — ztąd też wszystko powraca, co już było, i tylko modniarki i krawcy małe dodają odmiany.

— Naprawdę — przemówiła milutkim głosikiem panna Wanda Chrząstowiczówna — że ja zupełnie podobny mam kapelusik, tylko, że bez białych piór.

A mnie takie same rękawy u sukni kaszmirowéj Kunkówny zrobiły — wtrąciła znowu niebiesko-oka Milka.

— I kołnierzyki takie nosimy — dodała Jadwiga.

— Bo to wszystko znowu Asmodeusz z pod siebie wyrzucił, jak nas pan kapitan poucza — wymówiła Tecia, i zaśmiały się panienki wesoło.

Pani Karolina wszelako smutno pokręciła głową, i z cicha wyrzekła:

— Biedna! cierpiała!... i niewiadomą śmiercią zeszła ze świata.

— Cóż się z nią stało? — zawołały jednogłośnie panny Marszewskie, zainteresowane widocznie.

— Może wam to pani Chrząstowiczowa opowiedzieć zechce.

— Och, prosimy! Bardzo prosimy! — i panienki nuż ją po ramionach i po ręku całować.

— Niechże pani dobr. będzie tak łaskawą! — prosił także pan Stanisław z wyrazem pełnym zajęcia, a do prośby jego przyłączyli się i drudzy. Leon tylko jedno niby nieco więcéj ożywione rzucił spojrzenie.

— To więc siadajmy, i w krótkich słowach ten cały, smutny opowiem wypadek — odrzekła pani Chrząstowiczowa— bo ojciec mój nie lubi, gdy o tem mówimy: jest to zawsze dotkliwe dla rodziny wspomnienie.

Wszyscy w koło zajęli stare, nieco przykurzone siedzenia, bo pokój ten mało był odwiedzany.

— Ludgarda Staniewska była siostrą pradziada mojego — zaczęła pani Chrząstowiczowa — zrodzoną tutaj i przebywającą w tych komnatach, w których my dzisiaj bawimy. Podobno, że to nawet był jéj pokój za życia.

— A może i duch jéj otacza nas w téj chwili — poszepnęła pani Karolina.

Panny aż zbliżyły się więcéj do siebie... niby nastraszone pisklęta.

— Ojciec Ludgardy, kasztelan Nowodworski, człowiek możny i dumny nadzwyczaj — ciągnęła pani Chrząstowiczowa daléj — mając jednego tylko syna i tę córkę jedną, wielkie i świetne dla dzieci swoich roił nadzieje. Ludgarda była bardzo piękna, i zamierzał wydać ją za którego z pierwszych dygnitarzy kraju. Tymczasem bawił przy jego dworze młody szlachcic niezamożnego domu, Janusz Brzechwa, odznaczającéj się urody, dzielny i odważny. On pierwszy najdzikszego konia dosiadał, on najzręczniéj lancą wywijał: był do tańca i różańca, jak to mówią... i też niebawem serce ślicznéj pozyskał Ludgardy. Pan Kasztelan, gdy o tym afekcie młodego najlżejsze powziął podejrzenie, srogim uniósł się gniewem.... i Janusz bezwłocznie Rusielsk opuścić musiał. Biedna Ludgarda martwiła się serdecznie, płakiwała, lecz nie śmiała bólu serca swojego wydać przed ojcem. Bo znać przewidywała, że to nie przydałoby się na nic; że serca z kamienia dumnego pana nic zmiękczyć nie zdoła. Co stało się potem, pozostało w tajemnicy, lecz podobno że młodzi, za pośrednictwem czyjemś, zostawali z sobą w porozumieniu, że się widywali niekiedy, że ojcu o tém jakiś doniósł zdrajca, bo nagle postanowił wydać córkę za grafa Grumbacha, przybyłego ze Saksonii na dwór Augusta II, należącego do jednéj z najpotężniejszych rodzin w Niemczech. Grumbach, ten oto portret zobaczył w pracowni malarza, sprowadzonego z Włoch przez króla, i zakochał się na umór w pięknéj polskiéj dziewicy.... Sam August II słów parę, jako swat, do kasztelana przemówił, i do reszty go upoił; a jeszcze też i lękał się dumny ojciec, by córka wbrew jego woli za Janusza nie poszła! Gdy jéj o dziewosłębach grafa i swojem postanowieniu powiedział, rzuciła się biedna Ludgarda do stóp jego, błagała, rozpaczała, ale nieubłagany nowym tylko zawrzał gniewem, odepchnął ją i wyrzekł: że taką jest jego wola, i osadził biedną dziewczynę pod strażą, w jéj pokoju zamkniętą...

Dnia jednego powstała w pałacu wielka wrzawa i tartas: zjechał graf Grumbach z licznym dworem, wielu panów polskich i pań kilka, bo kasztelan wielkie polowanie wydawał, po którem miały zaręczyny córki nastąpić. Usunął Ludgardę z pod straży, ustrojono ją bagato i pięknie, i zaprezentowano na pokojach. Biedna mdlała z żalu i trwogi, lecz wszystko pokrywać musiała, a nawet i umizgi Grumbacha przyjmować! A był to starzec brzydki, który młodość swoją w rozpuście spędził. Nazajutrz polowanie wyruszyło do lasu, udały się na te łowy i panie, a pomiędzy niemi oczewiście i Ludgarda. Co tam zaszło, znowu gruba tajemnica pokrywa, to tylko wiadome, że gdy po kilku godzinach wszystko zbierało się do domu kasztelanki Ludgardy nigdzie nie było. Rozbiegli się panowie i służba po całéj kniei, wołali, szukali.... wtem po zagajeniu, w oddali coś im białego mignęło.

— „To siwka kasztelanki!” — zawołano.

— „Zrzuciła ją!

— I wszyscy pobiegli w te tropy. Jedni pogonili za siwką, drudzy przedzierali się w gęstwinę, szukając jeźdźczyni.... Niestety! znaleźli ją.... leżącą na mchu, z przestrzeloną piersią, i już bez tchnienia....

— Ach! — zawołały panienki. — O, mój Boże! Biedaczka!

— I któż był zabójcą? — zapytał Leon, jakby nagle ockniony.

— Niewiadomo!... — pani Chrząstowiczowa ruszyła ramionami i wzrok ku ziemi spuściła.

— Różne o tem zdarzeniu obiegały wieści, jak mi raz mówił pan pułkownik — ozwał się kapitan półgłosem — jedni utrzymywali, że panna w lesie widziała się z Januszem.... czyli, że schadzkę z nim miała, a Grumbach to wyśledził, czyli doniesiono mu o tem i zaprowadzono na miejsce, i że to on, powodowany zazdrością, tego krwawego dokonał czynu. Inni znowu posądzali — dodał ciszéj jeszcze — posądzali nawet samegoż kasztelana....

— Och! — wykrzyknęły panie ze zgrozą.

— Tak, przez uczucie dumy zranionéj i zaciętego gniewu. A inni jeszcze przypuszczali, że srogością ojca i wstrętem do Grumbacha zrozpaczona dziewczyna, sama wybłagała sobie śmierć u kochanka.

— Jakto! że Janusz....? — zawołały Milka i Tecia ze łzami. — Niepodobna!

— Niepodobna! zawtórował im pan Stanisław głosem żałosnym.

— Tak jest — odrzekł pan Wincenty cicho, a pani Chrząstowiczowa smutno głową skinęła.

— Jezus, Marya! To jest okropnie! Okropnie! — jękła Milka, załamując dłonie.

A pan Stanisław niby łzę miał na oku.

— Naprawdę, że to jest straszna historya! — poszepnęła pani Marszewska — ależ, dziecko, uspokój się przecie — i pogłaskała Milkę po licu.

— I czyliż nie wiedziano, co stało się z Januszem? — zapytał któryś z młodzieży,

— Przepadł bez wieści!... Może gdzie zginął na wojnie, albo też do klasztoru wstąpił.... lub też wreszcie sam sobie życie odebrał.

— Biedni! Mój Boże!

— Biedna Ludgarda!

— Jabym wszelako przypuszczała, że to najpewniéj Grumbach tego zabójstwa dokonał — ozwała się pani Karolina.

— I ja!

— I ja! — zawołały chórem panny.

— O, i ja także! — zawtórował Staś.

— Niepodobna także przypuścić, ażeby to kasztelan... — wyrzekła pani Marszewska.

— Zapewne Grumbach! Ani wątpię! — zawołała pani Kamilla.

— Lecz nigdy Janusz! — dodał jeszcze Stanisław.

Panienki niby popłakały trochę. Panie smutno głowy zwiesiły. Staś czoło pocierał — kapitan zażył tabaki — drudzy patrzyli w obraz i szeptali. Jeden tylko Leon zachował swój zwykły, spokojny wyraz.

Drzwi nagle otworzono — i wszyscy prócz Leona zadrgnęli — i ozwał się zaraz głos pana Ignacego:

— Chodźcież państwo, bo gospodarz tęskni za wami.

Towarzystwo udało się do ośmiokątnego salonu — muzyka śpiew i gry różne, a wreszcie i taniec smutne zatarły wrażenie, wywołane nieszczęsnym losem Ludgardy i Janusza.

Zabawa ochoczo do późna potrwała, i właśnie zegar wieżowy północną wydźwięczył godzinę, gdy kapitan,

powiedziawszy współmieszkańcowi swojemu *dobra noc* świecę zagasił. Nie upłynęło półgodziny — znużeni drzemać poczęli — gdy nagle ogromny ocknął ich łomot i jęk przeciągły.

— Co to? — krzyknął pan Wincenty — sufit się zarywa, czy co? — i z łóżka wyskoczył.

— Zapewne stół wywrócili w sali jadalnéj — odparł Leon ze zwykłym sobie chłodem.

— To nie wydałoby tak grzmotnego łoskotu.... I zkądżeż ten jęk?

— Uderzył się który ze służby.

— Potrzeba pójść zobaczyć, bo niewiadomo co stać się mogło i czyli kto nie potrzebuje pomocy.

Mówiąc to, Zyłko zarzucił odzienie na siebie i świecę zapalił.

Leon uczynił toż samo, i wyszli obydwaj na korytarz. W koło było cicho, że i nie ruszyła się myszka. Drzwi od sali jadalnéj były na klucz zamknięte.

Przeszli się wszerz i wzdłuż, zeszli ze wschodów, wrócili, i nic więcéj nie zasłyszeli.

— Nasz pokój jest przecież dość odległym od sali jadalnéj.... — wymówił Żyłko, a głos jego, nieco stłumiony, odbrzmiał dziwnie, niemiło w cichéj, a pustéj przestrzeni.

W tem, w końcu korytarza długiego, dostrzegł Leon jakąś postać szarawą.

— Kto idzie? zawołał.

Szara postać znikła — w koło pozostało głucho.

— Na kogóż wołasz, panie Leonie? zapytał kapitan.

— Zdawało mi się, że widzę kogóś w końcu korytarza.

— Ej, przecież i ja o mało sobie oczów nie wypatrzyłem, a nic nie ujrzałem — i zaparadyował:

„Głucho wszędzie,
Pusto wszędzie,
Teraz lepiéj spać się będzie!"

— Chodźmy! Zimno! — wycedził Leon przez zęby i wbiegł pierwszy do ich sypialni. Łoskot ten był pewnie na dole.... może w mieszkaniu służby: w ciszéj nocnéj wszystko odgłasza się silniéj.

— Tak, tak — przywtórzył kapitan — w nocy się wszystko inaczéj słyszy i widzi.

Nazajutrz, gdy im stary Łukasz, dawny sługa domu, przyniósł kawę, zapytał pan Wincenty:

— A cóż to tam tak strasznie załomotało, gdyśmy się położyli? Myślałem, że się pałac zapada.

— Ej, to.... bo.... hm! — mruknął stary sługa, kiwnął głową i machnął ręką. Myśmy się także nastraszyli.

— I cóż to było?

— To.... oj, zleciał portret téj panny na białym koniu... i znowu coś tam mruknął.

— Zapewne hak wypadł — ozwał się Leon.

— Ej, gdzie tam! — machnął ręką Łukasz.

— Albo sznur się przerwał.

— Wisi na trzech kółkach mosiężnych, i wszystkie są całe.

— To i jakimże spadł sposobem?

— Któż to wie!

— Trzeba go zawiesić co rychléj — wymówił kapitan — dopijając swoją filiżankę kawy — ażeby pan pułkownik nie dowiedział się o niczem.

Pójdziemy też zaraz, czekam tylko na ogrodnika.

Ale, że to ten obraz takiego narobił łomotu! przecież nie jest tak ciężki.

— Licho tam wie...! — mruknął znowu starzec.

— W ciszy nocnéj to wszystko rozlega się głośniéj — Leon także znowu powtórzył.

— Tak, zapewne — kapitan spojrzał się na Łukasza, który głową pokręcił, jakoby przecząc.

Wtem drzwi otworzono, i zajrzał ogrodniczek.

— Panie Łukaszu!

— Idę, idę.

— Pójdę i ja z wami — ozwał się kapitan — *zrekognoskować* co się tam stało. Chodź także, panie Leonie.

Leon powstał, zapiął kaszmirową, białą z pstrokatym przystrojem *bonżurkę*, włożył *fez* amarantowy z szafirowym kutasem, zapalił cygaretę — i udali się za Łukaszem na miejsce nocnego wypadku. Portret Ludgardy leżał na ziemi. Pan Żyłko obejrzał troskliwie żelazne haki w ścianie i mosiężne kółka: wszystko było w porządku — i nieco, jakby w zamyśleniu, głową pokręcił.

Służba coś tam pomrukiwała, ale podjęli obraz i zawiesili. Pan Leon tymczasem wypuszczał zręczne kółka wonnego dymu, patrząc się na malowaną dziewicę — a właśnie też jasny promyk porannego słońca padał na jéj lica, uwydatnił piękne oczy, słodki uśmiech — jakoś niby tchnął życie w martwe płótno—jednem słowem, prapraciotka wyglądała uroczo.

— Niezły pędzel, nieprawdaż? — zagadał do niego Żyłko.

— Tak, dosyć... — i kawaler znudzony, z lekka głową kiwnął, odwrócił się i wyszedł.

Gdy kapitan za nim do sypialni powrócił, zastał go w zadumaniu, wyglądającego na ogród.

— A co? Zawieszony? — zapytał wchodzącego, ocknąwszy się niby.

— Wisi.

— I niewiadomo, dla czego spadł?

— Nie.

— A cóż pułkownik?

— Jest w oficynie.

— Ale cóżby powiedział?

Żyłko ramionami ruszył.

— On nie lubi tego obrazu.

Zyłko głową kiwnął.

— Nie chce go widzieć.

— Dla tego też nie wisi na sali.

— Nie chce i słyszeć o nim.

— Nie.

— Gniewałby się, gdyby wiedział, że spadł.

— Popsułoby mu humor.

— I chciałby zapewne wyśledzić przyczynę?

— Rozumie się!.... A przecież w duchy nie wierzymy i w pokutowanie — kapitan zaśmiał się przymusowo niby, pochwycił kapelusz i wybiegł. A dziwna, że zwykle tak płynnéj wymowy, w obecnéj chwili stał się tyle skąpo-mownym.

Niezadługo dziedziniec przedstawiał ruch wielki: kabryolety, najdyczanki i bryczki w uprzęży pięknych koni, myśliwi w różnych przyborach, chłopięta wiejskie do naganki zwołane, i sfory psów gończych,— wszystko najrozmaitszy tworzyło widok. Do tego dajmy jeszcze i pań kilka na balkonie — a inne znowu wyglądające ciekawie z poza storów sypialni swoich — niechcąc zapewne w porannym ukazać się stro-

ju; szary gmach pałacowy, biała oficyna — i piękne stare drzewa ogrodu w porannem a jasnem świetle, to i śliczny będziem mieli obrazek.

Odzywały się trąbki raz po raz — śpiewki — nawoływania — i ochocze psów odgłosy, — aż wreszcie z hałasem i wrzawą wszystko z dziedzińca ruszyło. Panie z balkonu i z poza storów poznikały — i było cicho, pusto, *jak gdy szczęście minie.*

III.

Strzelcy rozstawili się w lesie, a młódź wiejska wesoło pobiegła, gdzie ją powiódł nadleśny.

Leon stanął pod dębem i znudzony oparł się na swojéj strzelbie. Najbliższym jego sąsiadem po jednéj stronie był Żyłko, a po drugiéj pan Ignacy.

Zdala doleciał pierwszy odgłos naganki, gdy Leon tuż poza sobą posłyszał szelest, jakby od grubego pochodzący zwierza — obejrzał się.... zdumiał: na białym koniu przesunęła się amozonka jakaś: w zielonéj sukni, długiéj, fałdzistéj — w kapelusiku czarnym z piórami białemi — cudnéj, biało-różowéj twarzyczki.... prześlicznych, oczów modrych.... Ludgarda z obrazu.... i znikła w zaroślu.

— Któż to był? zawołał, podbiegając do pana Wincentego.

— Stój! Przez Boga! Nie schodź ze stanowiska! — krzyknął tamten.

Odgłosy polowania zbliżyły się — i w niewielkiéj odległości pierwsze padły strzały. Powtarzały się bliżéj — a bliżéj.

Na Leona wybiegł rogacz, ale nawet i czasu nie miał wymierzyć — gdy tuż po nad uchem jego świsnęło, i padł hyży król kniei śmiertelnym ugodzony strzałem ręką samego pana Rusielska. Wesoły okrzyk myśliwych zawtorował tryumfalnie śmiertelnemu drgnięciu biednego zwierza.... — Inni łowcy mniéj więcéj byli szczęśliwi.

— Pocóżeś *złaził* ze stanowiska, panie Leonie kochany? — zapytał go kapitan, gdy już wszystko przemknęło.

— Któż była ta kobieta?

— Jaka kobieta?

— Ej, na koniu.

— Na jakim koniu?

— Na białym.

— Gdzie?

— Tuż za mną o parę kroków.

— Co? Jak? Nic nie wiem!

— Nie żartujże sobie, panie Wincenty!

— Nie żartuję! Jaka kobieta? Gdzie była i gdzież się podziała?

— Tutaj.... A znikła tam w zaroślu.... w zielonéj amazonce, na białym koniu.... w kapelusiku czarnym z białem piórem.

— Nic nie widziałem!

— Mistyfikujesz mnie, kapitanie.

— Daję ci słowo, żem tu w kniei żadnéj nie widział kobiety. Nie oglądałem się wcale.... i konia nie widziałem żadnego.

— I nie słyszałeś?

— Słyszałem tylko odgłos naganki. Ale którędyż przejechała owa nimfa leśna?

— Poza mną o kilka kroków: słyszałem stukot konia, poruszenie gałęzi i obejrzałem się...

— A potem gdzież się podziała?

— Mówię ci, że w gęstem znikła zaroślu, tam na lewo.

— Nie obracałem się wcale, i daję ci słowo honoru, żem jéj nie widział, ani za tobą, ani w zaroślu. I na białym jechała koniu?

— Na białym.

— Chybaby to była panna Lidya, jeżeli hrabina jest w Żarsku.

— Ej, tamta brunetka.... i poznałbym ją przecież!

— Więc ta była blondynką?

— Tak.... i zupełnie.... to jest podobnie ubrana, jak owa prapraciotka na obrazie.

— W zielonéj sukni? — kapitan coraz więcéj się chmurzył.

— W zielonéj.... blondynka....

— I ładna?

— Tak..... — wycedził Leon przez zęby.

Kapitan głową pokręcił — i zaciął usta.

— Może pan Ignacy ją widział.

— Kogo? — zapytał ten ostatni, nadchodząc właśnie.

— Jakąś amazonkę na białym konin — odrzekł kapitan.

— Gdzie?

— Tu w lesie, poza stanowiskiem pana Leona.

— Chyba wam się śniło, z przeproszeniem!... Stałem niedaleko, i nie widziałem nikogo.

— Widziałem ją przecież wyraźnie — zaperzył się Leon.

— Chybaby która z pań naszych.... może nam chciała zrobić niespodziankę?

— Nie byłato żadna z pań bawiących obecnie w Rusielsku: widziałem ją zbyt blisko — Leon aż pokraśniał.

— A może to kto z Żarska? wtrącił kapitan.

— Tam nie masz żywéj duszy. Jest tu nadleśny ztamtąd, i mówił mi, że panie są spodziewane dopiero za trzy tygodnie.

— To i któżby do licha? — zasępił się niby znowu pan Wincenty.

— Najprędzéj, że wam się przywidziało.

— Widziałem ją jak najwyraźniéj i jak najdokładniej — wymówił pan Leon z przyciskiem, i aż zabłysło mu w oku.

— Ja, bom jéj nie widział i nic nie słyszałem — ozwał się Żyłko — bom tylko na nagankę zważał.

— Jakżeż wyglądała? — zwrócił się Sulistowski do Leona.

— Blondynka, w zielonéj sukni, w kapelusiku czarnym z białem piórem.... odrzekł Leon, tem powtórzeniem znudzony, a raczéj zniecierpliwiony.

— I na białym koniu?

— Tak.

— Hm!.... Ej!... I przejechała blisko ciebie?

— Zupełnie blisko.... przemknęła i zniknęła w gęstwinie.

— Mogłeś rozróżnić rysy?

— Tak.... trochę — Leon zapłonął.

— Poznałbyś ją?

— Myślę.

— Byłaż ładna?

— Biała, świeża..... ładna.

— Powoli jechała?

— Zwolna zupełnie.

— Rzecz dziwna! — i pan Ignacy pokręcił głową, patrząc się na Żyłkę, który także ramionami ruszył. Może przecie ktoś jeszcze ją widział!... Potrzeba nam rozwiązać tę zagadkę koniecznie.... Niechaj tylko pułkownik nie posłyszy o niczem, zaklinam was na słowo!.. — Lepiéj i kobietom nic nie mówić także, ażeby próżnéj gadaniny uniknąć. Przepytam się wszystkich ostrożnie.... Żadnych niepotrzebnych gadanin!

Pan Ignacy poszedł ku innym myśliwym, zapytywał, rozpytywał, ale nikt amazonki nie ujrzał.

Żyłko w tym czasie odprowadził Leona nieco na stronę.

— Nie mów tam nic, panie Leonie, nie rozpowiadaj o téj swojéj tajemniczéj jezdzczyni, ani paniom ani panom, bo inaczéj łatwoby się do pułkownika doniosło....

— A dla czegóż unikacie tego? — Leon spojrzał zdziwiony — jużem tę uwagę posłyszał i z ust pana Ignacego. Dla czegóż to?

— Ej... bo widzisz... Dzieciństwo! niedorzeczność!... Ale gadają, że ta piękna Ludgarda ukazuje się niekiedy...

— Jakaż niedorzeczność! głupstwo! — rzucił się Leon i poczerwieniał.

— A pułkownika to drażni.

— Wierzę! Taka niedorzeczność!

— I ja tak twierdzę, że to jest niedorzeczność, ale.... widziałeś ją wszelako — dodał kapitan ciszéj jak gdyby nie chciał, ażeby te wyrazy drzewa posłyszały, bo zresztą nikogo tak blisko nie było.

— Ej! — zaśmiał się Leon. Zapewne kto z okolicy.... głupstwo! — chciał jeszcze cóś dodać, ale zamilkł, bo znać sam przed sobą wyznać musiał, że to zjawienie było zupełnie do portretu Ludgardy podobne.

— Kilka, kilkanaście osób już twierdziło, że ją widzieli — dodał Żyłko.

— Ależ ja temu wierzyć nie mogę!

— I ja nie uwierzę, dopóki sam nie zobaczę...... Któżby to mógł być wszelako?

— Ciekawym.... to jest troszkę — poprawił się Leon — zresztą rzecz obojętna!

— Widziałeś *w żywe oczy*....

— Patrzałem się, jak gdyby teraz na ciebie kapitanie.

— I była podobną do *tamtéj*?

— Tak.... hm!.... była.... — Leon znowu pokraśniał.

— Dziwna, ot, dziwna! — pan Wincenty głową pokręcił. Wybadam nasze panie; czy to nie była która z nich... Może Milka, bo ona blondynka.

„Uchowaj Boże! — chciał zawołać Leon, lecz umilkł.“

(d. c. n.).

HORACY WERNET.



W Paryżu 30 Czerwca 1789 r. urodził się Emil-Jan-Horacy Wernet i tamże umarł 17 Stycznia 1863.

Życie Horacego Werneta, jako artysty i jako człowieka w niedalekiéj zapewno przyszłości posłuży naszemu piśmiennictwu za treść do nakreślenia znakomitego studjum. Opis tam licznych jego utworów przedstawiających po większéj części najsławniejsze wojenne ostatniego stulecia czyny i pod historycznym względem będzie bardzo dla całego ogółu publiczności zajmującym; szczegóły zaś domowego pożycia artysty, różne fazy jego talentu, oraz prawdziwe i fałszywe sądy o nim, staną się dla młodszych braci artystów, obfitem źródłem nauki i reflexyi. Podobne wszakże dzieło zaraz się ukazać nie może. Talent bowiem Horacego Werneta, tak długo zachowywał swoją młodzieńczą sprężystość, tak długo, bo aż do saméj śmierci, był ciągle samoistnym i niepodległym, iż chcąc o jego utworach wydać sąd *bezstronny*, trzebaby wprzód poczekać na nowe niezużyte wrażenia, jakich doznają zapewnie nowi niedalekiéj potomności sędziowie. Dla rzucenia więc raczéj kilku pomocniczych promieni światła, a nie dla ustalenia opinji ogółu o talencie Werneta, ośmielamy się naszkicować tę krótką biografję, starając się w niéj przede wszystkiem zrównoważyć krańcowe wielbicieli i obmówców Werneta zdania.

Horacy Wernet, wychowany przez ojca, żyjąc ciągle w jego artystycznym świecie, od lat najmłodszych bawił się w pędzel i ołówek. Wszakże jako ukochane i pieszczone dziecię pracować nie chciał; i jak najprzód u ojca, tak potem u sławnego malarza p. Vincent, stojącego wówczas na czele szkoły rywalizującéj z Regnault'em i David'em, mało się bardzo uczył, poświęcając cały czas ćwiczeniom ciała i konnéj jeździe. Namiętność ta do koni i polowania, którą zachował przez cały swój bieg życia, była spuścizną po ojcu jego Karolu Wernercie.

We trzech wyżéj wzmiankowanych Vincent'a, Regneult'a i David'a malarskich szkołach, ucząca się tam młodzież kształcono wyłącznie na polu historycznem. System ten nie miał żadnego wpływu na umysł i zdolności młodego Horacego. Został on samym sobą. Studjując z wewnętrznego popędu w czasie swych zamiastowych przejażdżek konie i jeźdźców, oraz odtwarzając za powrotem z tych przejażdżek humorystyczne szkice i dowcipne karykatury. Tamto, bezwiednie prawie, obznajmił się on zblizka z ruchami ludzi i koni, i z nauki téj korzystał potem stale przez długi czas swego malarskiego zawodu.

Do 1812 r. talent a nawet artystyczne usposobienia Horacego Werneta nie były wcale znanemi światu, i tylko śliczny obraz *Wzięcie Szańca*, zjednały mu po raz pierwszy miano artysty. Szczegóły tego obrazu nie celowały wykończeniem, ale w całości akcyi i w ruchach przedstawionych tam postaci, ówczesna

publiczność uznała jednogłośnie wzniosłość talentu niezwykłą. To powodzenie syna Karola Werneta, autora sławnéj *Bitwy pod Marengo* zdaje się ustaliło raz na zawsze rodzaj talentu Horacego. I w saméj rzeczy, pomimo że giętkość pędzla i wyobraźni pozwalały mu traktować przedmioty treści najrozmaitszéj, wszakże w przedstawieniu tylko bitew i obyczajów obozowych był on prawdziwie twórczym, bogatym w pomysły głębokie. Biorąc za punkt wyjścia granicę do któréj doszedł ojciec t. j. połączenie porządku strategicznego z luźną malowniczością, syn przyswoił sobie tę zasadę, i do nieskończoności powiększył jéj zastosowanie. Wojny z czasów Rzeczypospolity i Cesarstwa podały mu właśnie niemało do tego treści, i jako pierwsze z owego czasu jego płody cytujemy tu *Bitwy pod Jemapes*, *Valmy*, *Hanau*, *Montmirail*.

W trakcie wykonania tych ważnych utworów, artysta opracowywał także z wielkim dowcipem i prawdą sceny z domowego żołnierzy życia; wówczas to właśnie *Pies pułkowy i Koń trębacza* podniosły imię jego do wielkiéj popularności.

W skutek pierwszego w r. 1814 wkroczenia wojsk sprzymierzonych do Francyi Horacy biorący udział w obronie Paryża, otrzymał krzyż legji honorowéj.

Za powrotem wszakże Ludwika XVIII, w czasie pierwszéj wystawy obrazów w Luwrze, sąd przysięgłych odmówił przyjęcia płócien Horacego, przedstawiających czasy Rzeczypospolitéj i Cesarstwa. Wziętość imienia artysty i jego utworów, taką za to odmówienie zrodziła miłość w Bonapartystach, iż zwykła tylko dotąd sympatja dla pędzla Horacego, zamieniła się nagle w uwielbienie bez granic. Artysta nie mający przystępu w Luwrze, urządził małą wystawę we własnem mieszkaniu, i dodał do obrazów nieprzyjętych, *Rogatkę Clichy*, *Żołnierza rolnika*, *Żołnierza z pod Waterloo*, *Ostatni kartacz*, — a wywołane tam uniesienia jednéj części Paryżanów i szykanowania — drugiéj, nie miały już nic wspólnego ze zdrową krytyką; spierania się na polu sztuki przedzierżgnęły się w kłótnię partji politycznych.

Za powtórnéj Restauracyi, Horacy Wernet tak dobrze był przyjęty przez księcia Orleanu, iż uważano w Tuiljerjach za właściwe przygarnąć artystę do siebie. Jakoż zaraz polecono mu roboty portretów książąt Berry i Angoulême, oraz Karola X na koniu.

Po ukończeniu tych i wielu inszych przeróżnéj treści robót, między któremi najznakomitsze, *Mazepa*, *Ucieczka Lavaleta*, *Edith*, *Portret generała Foy* i t. p., Wernet ze śmiercią Guerin'a, dyrektora akademji francuzkiéj w Rzymie, posłany tam został jako jego następca.

Jakkolwiek posłuszny nowym wrażeniom, poświęcił w Rzymie niemało czasu na studiowanie arcydzieł wielkich mistrzów XVI-go wieku, wszelako samoistność swego talentu zachował w całości, i pomimo że w portrecie Wittorji, żony Albana, zdawał się szukać jakiegoś szorstkiego i surowego modelu, rychło wszakże potem wrócił do właściwego sobie rodzaju, i utworzył po mistrzowsku, *Bój bandytów*, *Spowiedź rozbójnika*, *Polowanie w błotach Pontyjskich*, oraz *Spotkanie się Rafaela z Michałem Aniołem w Watykanie*.

Niektórzy lepiéj od nas świadomi szczegółów pobytu Horacego w willi *Medicis*, powiedzieć-by zapewne mogli dużo i o jego tam gościnności, i o ozdobie tego wiejskiego artystycznego ustronia — córce Werneta, i o obecnym tam wówczas jéj narzeczonym Pawle Delaroche.

My cały ten epizod pobytu ich we Włoszech pomijamy milczeniem, i wracając razem z Horacym do Francyi, zbliżamy się do téj właśnie ważnéj epoki, w któréj talent jego ma przybrać swoje najrozleglejsze rozmiary. Na wystawie 1836 r. pokazał on światu cztery najcenniejsze swoje obrazy, ustępy z *Bitew pod Jena*, *Friedland*, *Wagram i Fontenoy*. Największą zaletą pędzla Horacego Werneta była sztuka chwytania i uwydatnienia ruchów człowieka i zwierzęcia; i ta właśnie zaleta, — wynik niezawodny wielkiéj artysty pamięci, — panuje wszędzie w tych czterech zacytowanych przez nas obrazach. U Werneta pamięć wzroku była prawie zdumiewającą. Zdarzyło się, iż raz chwilowie tylko widział on w królewskiéj stajni ulubionego konia Karola X-go, i wróciwszy do siebie odmalował go z taką wiernością, z jaką nie jednemu ze znakomitych artystów trudno by było tego dokazać, mając nawet żywy konia model przed oczami.

Za panowania Ludwika Filipa, Wernet otrzymał królewskie polecenie ozdobienia sali *Constantine*, obrazami wziętemi z tematu wojny w Algierze. Horacy nie tracąc czasu, udał się do Afryki, obejrzał tam miejsca i ludzi, poznał ich obyczaje, i wróciwszy z gotowemi materjałami do Francyi, w przeciągu sześciu lat dokonał chlubnie poleconego sobie zadania. W kilku krótkich wyrazach przypominamy parę jego ważniejszych afrykańskich obrazów. Najbardziéj celujące między niemi: 1° *Wzięcie Smali* i 2° *Zajęcie Wąwozu Tenjach*, składające się z trzech oddzielnych utworów, jako to, widoku Konstantyny, oblężenia tego miasta, oraz jego zdobycia. W obrazach tych artysta rozwinął całą siłę swego wzniosłego talentu wykonania, oraz pokazał jawnie do jakiego stopnia głębokości mógł on podnieść sztukę tworzenia, w reprodukcji czynów ważnych i uroczystych. Prawdziwem arcydziełem Werneta, przewyższającem wszystkie jego tego rodzaju utwory, jest *Oblężenie Konstantyny*. Pole obrazu, choć szerokie i mieszczące w sobie dość wielką ilość osób, proste jest i łatwe do ujęcia okiem. Poniżéj murów Konstantyny, rozbijanych przez oblegające ją na drugim planie obrazu wojsko francuzkie, postrzegamy z przodu artylerzystów, gotujących się do szturmu, i ich dowódzcę, generała Valée, opartego na łożysku działa, — gotowego już da dania rozkazu atakowania. Wszyscy ci waleczni, nieruchomi i ze spuszczoną bronią, oczekują na rozkaz rzucenia się do boju. Horacy Wernet pokazał się tutaj rzeczywiście wielkim artystą. On co w innym swoim obrazie *atakowaniu Konstantyny* umiał wyrazić poruszenia najbardziéj ożywione, najbardziéj gwałtowne, teraz w chwili poprzedzającéj ten szturm, przedstawił równie po mistrzowsku, oddział wojska wyczekujący, nieruchomy prawie. Nieruchomość ta, niesłychanie jest u niego wymówną! Z wyrazu twarzy i wzięcia się każdego żołnierza odgadnąć łatwo wewnętrzne usposobienie jego duszy! Bezwątpienia waleczni są tam ci ludzie i zrezygnowani, ale zawsze ludzie to tylko, i jako tacy — drażliwi na widok zbliżającéj się śmierci!

Ludwik Filip, chcąc wynagrodzić Werneta po kró-

lewsku za jego prace u Wersalu, ofiarował mu parostwo, ale go artysta nie przyjął, i w skutek zobojętnionych z dworem stosunków opuścił Francję. Za powrotem z północy, twórca galerji konstantyńskiéj pojednał się z królem, i w r. 1846 zrobił mu dwa nowe historyczne obrazy. Między dość wielką liczbą jego portretów, na szczególną zasługuje uwagę portret Ludwika Filipa i jego synów, daléj Filipa, przełożonego zakonu chrześcjańskiéj szkoły, i z ostatnich czasów, portret Napoleona III-go.

Wybitną charakterystyką serca i umysłu Horacego Werneta była niezależność, i ona to właśnie stworzyła oryginalną człowieka tego stronę. Horacy nie naśladował żadnego z dawnych mistrzów, ani też nie sympatyzował wcale z chorobliwością zasad szkoły nowéj, która pomimo to przez czas długi zaliczała go do rzędu swych adeptów. O ile to przywłaszczenie było nieprawnem, najlepszy tego dowód mamy w oddzielnych zupełnie rodzajach tych dwóch kreacyj; szkoła romantyczna, za podstawę swojéj doktryny uważała zawsze *koloryt*, a Wernet zawsze tylko doprowadzoną do najwyższego naukowego rozwoju *formę*.

Niektórzy nieugięci krytycy doszli aż do odmówienia Horacemu Wernetowi imienia artysty, a to z téj jedynie przyczyny, że pędzel jego przeznaczony wyłącznie do mistrzowskiego odtwarzania rzeczywistéj strony życia, nie zazierał wcale do idealnéj. Niekompetentni ci sędziowie zapomnieli właśnie, że to umiarkowanie w artystycznych zachceniach, to sprawiedliwe ocenienie swojego genjuszu, ta wreszcie *znajomość samego siebie*, były główną dźwignią talentu znakomitego malarza, że one tylko wywołały z pod jego twórczego pędzla arcydzieła niespożytéj prawdy i piękności!

Horacy Wernet przed końcem panowania Ludwika Filipa, mianowany został członkiem Instytutu. W r. 1814 zaliczony do Legji Honorowéj doszedł on w końcu aż do stopnia komandora, i otrzymał dokoracye wszystkich prawie istniejących w Europie orderów. Napoleon III, na kilka miesięcy przed śmiercią artysty, przysłał mu krzyż najstarszego oficera Legji.

PRZYGRYWKA.

Dusza myśląca, dusza czująca,
Oczami ciała,
Długo a długo, wprzestrzeń bez końca,
Przez łzy patrzała...

I bez słów brzmienia, grą odetchnienia,
Szeptała sobie:
„Piękna przyrodo! w chwili marzenia,
Wołam ku tobie!

Tyś nieprzejrzana; tyś niezbadana,
W swoim ogromie!
W powrocie zmysłów, jam tu skazana
Śnić niewidomie!

Mleczna siostrzyco! czyż tajemnicą,
Jestem dla Ciebie?
Jak ty, niezłomnych praw swych granicą,
Osłaniasz siebie?..."

Milionowemi, usty swojemi,
Natura cała,
Tęsknéj, samotnéj tułaczce ziemi,
Cicho odbrzmiała...

Wrażeń niesyta, głosy te chwyta,
Dusza w zadumie...
Lecz, jaka w dźwiękach tych myśl ukryta,
Czyż pojąć umie?...

I ta gorąca, w łzach promieniąca,
Miłość jéj łona,
Dla mlecznéj siostry, co tak milcząca!
Czyż podzielona?...

I.

KSIĘŻYC I GWIAZDY.

Jakaś gwiazdeczka, z promiennem licem,
Tak rozmawiała, z naszym księżycem:

„Powiedz braciszku! powiedz kochany!
Czemu na twarzy ciągle się mienisz,
Na poły ciemny, na pół świetlany?...
A choć się niby cały promienisz,
Zawsze na sobie plamy masz ciemne,
Jakbyś czuł troski jakieś tajemne?"

A księżyc na to: „Luba siostrzyczko!
Ja służę ziemi, więc ludziom służę
I jak ich dola, tak moje liczko,
To światłem pała, to niknie w chmurze,

A choć się cały niby promienię,
Na tle, rodzime zostają cienie!"

I czuła gwiazdka, na górnéj sferze,
Nad swym braciszkiem, westchnęła szczerze!

II.

KWIATEK I PTASZEK.

Ptaszek z gniazdeczka, śpiewał w ustroni,
A wonny kwiatek błysnął na błoni.

W dni kilka, kwiatu kielich pobladły
Opadł, i listki tylko zostały,
Potem i listki, zżółkły, opadły,
Znikł kwiatek cały!

Ptaszek, prześpiewał, przelatał dłużéj,
Pisklęta jego wzrosły, wzleciały,
Aż w ostre mrozy, czy pośród burzy,
Zamarł zbolały!

Tylko wiatr jeden, rozwiał po świecie,
I puch ptaszęcia, i zwiędłe kwiecie...

TRZY CHWILE

(*Myśl z J. P. Richtera*).

Prędzéj, czy późniéj, z niebios wyroku,
Nim dojdziem ku swéj mogile,
Po drodze życia, w życia pomroku,
Trzy tylko świecą nam chwile...

Pierwszą jest chwilą, — chwila uśmiechu,
Chwila swobody ptaszęcéj,
Co błyskawicznie przemija w echu,
I uśmiech, niewraca więcéj!

Drugą jest chwilą, — chwila westchnienia,
Do niebios, szczęścia, do ciszy...
A potem z piersi, jakby z kamienia,
Nikt już i westchnień niesłyszy!

A trzecią chwilą, miłości chwila!...
Ale nie... pół-chwili tylko...
Bo już się szala życia przechyla,
Z pierwszą miłości pół-chwilką!

Jan Prusinowski.



Korrespondencja z Paryża.

Moda tegoroczna bardzo pomyślny przybrała kierunek, zwrot do prostoty coraz ogólniéj spostrzegać się daje. Ubranie dzisiejsze na ulicy, pełne gustu i powagi, nie zakrawa już bynajmniéj na kostium teatralny, jak to było w ostatnich dwóch latach; kolor pąsowy prawie zupełnie wyszedł z mody; spódniczka najczęściéj taka jak suknia, a jeśli nie z tego samego materjału, coby niekiedy zbyt drogo wypadło, to przynajmniéj zbliżona kolorem, lub też biała perkalowa, obszyta skromnie falbanką albo gipiurą *Cluny*. Na kapeluszach coraz to mniéj widać paciorków stalowych i kryształowych; forma ich zręczna, nieprzesadna podpięcie nie przeciążone kwiatami, lecz złożone z maleńkiéj girlandki, naszytéj na rulonie z materji lub aksamitu. Włosy wyglądają wprawdzie z pod kapelusza, lecz nie spadają na plecy w ciężkich workach; nie piętrzą się zbytecznie w górę i nie tworzą owych śmiesznych rożków baranich po obu stronach czoła. Słowem miejsce dziwacznych excentryczności zastąpił znów dobry smak właściwy Paryżankom.

Radzibyśmy szczerze, aby ten zwrot do prostoty objawił się także i u nas.

Do sukien bareżowych często bardzo widzieć się dają takież same beduiny, z kapturkiem podpiętym dwoma kwastami z angory. Młode panienki noszą suknie z takimże samym szalikiem. Do sukien lekkich muszlinkowych, widać takie same chustki kwadratowe. Oprócz tego używane bardzo rogówki rotondy i beduiny z czarnéj wełnianéj Lamy.

Kapelusze najmodniejsze słomkowe w formie *Empire*. Brzeg ronda na trzy palce, bywa ze słomy, z bastu lub włosia, w tyle przechodzi takiż pasek, środek wypukły; zastosowany do formy głowy, daje się namarszczony z tiulu jedwabnego. Woalik biały illuzjowy długi na łokieć, stanowi zwykle dopełnienie; noszą także woaliki gazowe, w kolorach odpowiednich do środka kapelusza. Chociaż powyżéj opisana forma kapelusza należy do najmodniejszych więcéj jednak noszą fanszoników jako nierównie zgrabniejszych.

Okrągłe kapelusiki mało się ukazują na ulicy, w sklepach jednak wiele widać przygotowanych dla osób, które wyjeżdżają na wieś, albo do morza. Najmodniejszy z pomiędzy nich, kapelusik trójkanciasty, z białéj słomki Brukselskiéj, przybrany w koło główki, wieńcem piór czarnych mięszanych z jasno szafirowemi. Młode panienki noszą okrągłe kapelusiki zwane *Diana*; rondo u nich podwinięte z obu stron, podszyte aksamitem. Pęczek piór, lub ptaszek z jednem długiem piórem stanowi zwyczajną ich ozdobę.

Z pomiędzy sukien, zwróciła uwagę naszą jasno popielata *fil de chèvre* w czarne przerabiana muchy. U dołu wycięta była w zęby okrągłe mocno wcięte, objęte czarną plecionką. W każdym zębie był czarny guzik szmuklerski. Spódniczka tegoż samego koloru, zakończona u dołu tak samo, tem się różniła, że nie miała czarnego rzuciku. Paletocik także gładki równie jak spódnica, przybrany był w koło zębami.

Inna suknia bareżowa perłowa w szerokie pasy fijołkowe przerabiane jedwabiem, przybrana była u dołu trzema ukośnemi plisami. Stanik gładki spinał się na szmuklerskie fijołkowe guziki. Za okrywkę służyła beduina z perłowego bareżu, podpięta kwastami angorowemi, kapelusz biały illuzjowy przybrany lilla barwinkiem dopełniał ubrania.

Przytaczamy na końcu kilka sukienek dziecinnych. *Ubranie sześcioletniéj dziewczynki.* Spódniczka z alpagi szaréj; nad obrębem plisa skośna z alpagi z pąsową wypustką pasek szwajcarski szary. Zamiast

(Dodatek).

stanika koszulka biała muszlinowa i kaftanik krótki do stanu z przodu zaokrąglony.

Ubranie czteroletniéj dziewczynki. Sukienka z koziéj wełny, w paski mocno niebieskie na tle białem. Nad obrębem wstążeczka niebieska na cal, pokryta białą gipiurą, dosyć grubą. Staniczek wycięty czworograniasto na wykroju naszyty wstążeczką i gipiurą. Szarfa ze wstążki niebieskiéj.

Ubranie ośmioletniéj dziewczynki. Sukienka kamlotowa w kolorze niewarowym. U dołu drabinka z fijołkowéj pletni odwrócona w górę. Spódniczka fałdowana w niewielkie fałdy: na każdym z nich, naszyty pasek z pletni fijołkowéj, długi na ćwierć łokcia. Staniczek wycięty czworograniasto, od wykroju dana spadająca w koło drabinka. Rękawki krótkie przybrane odpowiednio.

Ubranie sześcioletniego chłopczyka. Majtki z szarego dryliszku, szerokie, naszyte z boku pletnią czarną, i rzędem białych perłowych guzików. Kamizeleczka i kaftanik takiż sam.

Do większego ubrania, robią takież marynarki i majtki z popeliny wełnianéj w dzikich odcieniach. Majtki mają zawsze czarny lub ciemny lampas, i drobne perłowe guziki. Kamizeleczka bywa także sama albo biała pikowa.

ZAKŁADY JUBILERSKIE

braci Jarockich.

Powiadają, że w pokładach napływowych Kolumbji, Meksyku, Brezylji i w skałach łupkowych Kordyljerów, złoto i srebro znajduje się na samym prawie wierzchu, a w Peru ziemia niemal przesiąkniętą jest drogiemi metalami. Indjanin w r. 1544 uganiając się za zranioną lamą, uchwycił latorośl, która wyrwana z korzeniem odsłoniła bryłę czystego srebra i tym sposobem odkryto kopalnie Potozy, obfitością przewyższająca wszystkie znane pokłady. U nas złota nie znalazłby nawet wkopawszy się w sam środek ziemi, a jedyna kopalnia srebra w Olkuszu leży w objęciach zatopu wodnego, marząc zapewne o złości Szwedów, a ciesząc się ciszą jaka ją otacza.

Mimo tego lubimy złoto, do brzęku srebra uśmiechamy się, chwalimy serca złote, złote czasy, dukaty pieszczotliwie nazywamy dusiami czyli własnemi duszami, w nadskokach panie serc naszych złotemi, czasem tylko srebrnemi, wyśpiewujemy *złotko, złotko jest żywiołem...* a nawet lud wiejski chcąc się przypodobać, nazywa panienki nasze, *śrebnemi* albo złocistemi.

Nie mając kopalni drogich metali w naszéj glebie chlebodajnéj, w mowie za to mamy pełno złota, i... zakłady jubilerskie nie ustępujące znów tak bardzo zagranicznym.

W tych dniach oglądaliśmy takowe należące do braci Jarockich. Rozmaitości, bogactwa pełno; brylanty ślnią się, skromne turkusy nęcą, różowe korale pociągają jak uśmiech jutrzenki, perły przypominają szczebiot usteczek dziewiczych, opale myśl tęskną, błądzącą daleko, a wszystko iskrzy się błyszczy, obsypuje skrami światła gwiazdzistego, cudną robotą przechwalając się jedno nad drugie. W obfitym zbiorze wybór niezmiernie trudny, bo czyż podobna opisać wszystkie wyroby, począwszy od szpilki do bukietu ślubnego, aż do całych garniturów płaconych tysiącami? Czy podobna szczegółowo odmalować piórem owe ozdoby, delikatne wyróżniania rysunku, owe listki, kwiatki arabeski, węzły, plątaniny rozsypane wszędzie, jakby w zaklętym pałacu Tysiąc nocy i jedna?

Garnitury całe złożone z kolczyków, broszy i bransolety, najwięcéj teraz wyrabiane są matowym sposobem, mniej świetnym na oko i niebłyszczącym, ale za to i mniéj trwałym. Jednéj z bransolet całą ozdobę stanowi wyraz *Souvenir*, ułożony z dużych wypukłych liter, przewiązanych łańcuchową robotą. Napis *Pamiątka*, byłby tu właściwszym, ale nie każdy salon wpotoczonéj mowie zerwał stanowczo z francuzczyzną, kunstz zaś jubilerski jest jego najuniżeńszym sługą. Co do gustu, najmodniejsze garnitury, są à la Greque, a raczéj na sposób chiński, z wiszącemi różnemi drobiazgami, bąbelkami, strząpeczkami, bardzo przypominające chińskie piękności, ich zakrzywione pantofelki, śpiczaste kapelusiki, pagody, pałace niebieskiego państwa i... herbaciane pudełka strojące szeregami składy téj wonnéj aromatycznéj rośliny. Gust jednak ten nie jest bez pewnego wdzięku, bo sztuka naśladując, odrzuca wszystko, co wstrętne i niemiłe, co się nie zgadza ze smakiem i uczuciem estetycznem społeczeństwa, dla którego pracę swą poświęca.

Niektóre z brosz i kolczyków są emaljowane z malowidłem wypalonem później w ogniu. Są to prawdziwe pieścidełka, śliczne, gustowne, i mimowoli ku sobie pociągające. Na jednéj broszce, ozdobami obejmującéj środek zaledwie wielkości trojaka, w polu na małem wzgórku siedzą pasterz i pasterka, w koło nich rozściela się kobierzec dzikiego pastwiska, gdzie niegdzie pokazuje się krzaczek, wyrasta kępa gęstszéj trawy, tu bieli się kawałątko piasku, tam pobłyskuje moczar wisowatą otoczony roślinnością, pomiędzy gałązkami zda się widzieć swiegolące ptaszki, w powietrzu drobne brzęczące muszki, a nad tem wszystkiem unosi się lazurowe niebo, upstrzone w głębi bieluchnemi chmarkami. Pasterze zdają się prowadzić z sobą miłosną rozmowę, w główkach ich, wielkości łebka szpilki, widzisz oczki z rzęsami zwrócone ku sobie, uśmiech ust, nieśmiałość pasterki i wszystkie szczegóły przystroju od czubka głowy aż do końca drobniutkiéj nóżki.

Na kolczykach zajęły nas dwie minjatury główek kobiecych; jednę przystraja przepaska z prawdziwemi brylancikami, u drugiéj kolczyki także brylantowe zdobią uszy. Oprócz wyrobów większych, mnóstwo drobnych jak spinki do koszul od rs. 5, spinki do krawatów od rs. 2, śpilki do włosów od rs. 5, kolczyki, od tejże saméj ceny, lornetki damskie i męzkie, binokle pieczątki flakoniki do gąbek z perfumami, przepełniają szafy zakładów braci Jarockich, nie tracąc nic na swéj wartości, choć otoczone drogocennemi towarzyszami. Są także i albumy w kształcie książeczek do noszenia przy zegarku, mogące mieścić w sobie od dwóch do sześciu fotografji w cenie od rs. 6 rozpoczynając.

Opis ten cały, zaledwie jest jednym wyrazem rozmaitości, gustu i kosztowności zakładów, a jeżeli miłe nam obejrzenie arcydzieła malarskiego, choć go na własność nie możemy posiąść, to sądzimy, że opis ten chętnie przyjęty zostanie, choćby tylko jako wiadomość postępu sztuki jubilerskiéj.

Przejażdżka do kopalni złota.

I.

FOLSOMM.

Droga żelazna od Sakramento, biegnie w dół Amerykanki do Folsommu, leżącego na granicy prowincyi i obrębu Eldorado. Jest to pierwsza koléj żelazna w Kalifornii; zbudowaną została cztery lata temu i nie przedstawia się znowu tak niebezpieczną, jak to głoszą o Amerykańskich kolejach. Prawda, sprzyja jéj równa miejscowość, fałdująca się dopiero we wzgórza pod Folsomm; ztąd przecina ona drogi okręgów kopalnianych Kaliforni... bo nie wspomniałem wam dotychczas, iż w tym złotodajnym znajdujemy się kraju. Tak jak wszystko tu, koléj Folsomska ma nieco improwizowaną minę: bilety sprzedają się w szopie do któréj przebrnąć się trzeba przez kałuże błota; konduktorów i służby ułatwiającéj pakowanie się nie znajdziesz. Cóż robić poddać się jednak trzeba konieczności.

Jazda z Amerykańską prawdziwie szybkością dowodzącą, iż czas umieją tu cenić, trwała kilka godzin. Nareszcie zatrzymaliśmy się, a długi rząd powozów i tłumy różnobarwnéj ludności wskazały nam przybycie do Folsomm. Miasteczko to wznosi się w zakręcie Amerykanki płynącéj tu wspaniałym nurtem. Na przeciwnym brzegu zaległa równina nastrzępiona tu i owdzie rozruconemi partyami drzew, które są przednią strażą wszelkich lasów spływających z gór Eldorado, gdzie właśnie dążymy. Folsomm jednak pozostało nieczułe na te piękności widoków, jakich majestat roztacza się przedoczyma widza; odwróciło się ono do nich tyłem, biegnąc długą linją domów od kolei żelaznéj, która ma się stać alfą i omegą jego wzrostu. Wszystkie te budowy drewniane, prócz kilku wzniesionych w przemysłowym celu. Miasto jednak liczy około półtora tysiąca mieszkańców i posiada to wszystko przynajmniéj w zarodku co jest lub być może nie odzownem dla Amerykanina. Folsomm więc jest to jaje z którego ma się wykluć grod potężny. Dziś jest tu już około 10 hoteli, kilka sal dla towarzyskich zgromadzeń, a w ich liczbie nieodstępne Temperance Hall i Soshial-Hall, młyn parowy, drukarnia, redakcya miejscowéj gazety i dwa kościoły. Handel jest tu duszą, więc w każdym domu sklep lub magazyn, a między temi największe gotowego ubrania i bielizny. Ściany rogów i domów po pierwsze piętro zawieszone nowemi i staremi ogłoszeniami o sprzedaży różnych towarów, odezwami i plakatami między któremi panuje ogłoszenie, Dr. Tomsona:

Zabójstwo! Zabójstwo!
Dziesięć tysięcy obywateli naszego stanu truje się co rocznie najobrzydliwszym alkoholem.

Szanowny doktor zaprasza wszystkich: dżentelmanów i ludzi młodych i starych, przyjaciół i wrogów wstrzemięźliwości na prelekcją, jaką mieć będzie w tym przedmiocie wieczorem w Temperance Hall. Ze swéj strony straszny ów rozbójnik alkohol nie próżnuje i wychwala się patetycznie na wielkich afiszach pokrywających rogi hoteli ulic, a nawet drzwi saméjże *sali wstrzemięźliwości*. Wyszedłszy na ulicę uderzył mię niezmierny ruch. Zdaje się, że to urocze społeczeństwo niemoże znieść spokojności ani chwili. Co jednak najdziwniejsze, to zamiłowanie zbytku z jakim tutejsza publika występuje. W nędznéj półtorotysięcznéj mieścinie damy stroją się tak, jakby spieszyły na bulwary lub do lasku Bulońskiego. Wszystko to spieszyło do traktierni i innych zakładów na odgłos dzwonu ogłaszającego że *lunch* gotów. Lunch, to drugie zimne śniadanie, bardzo licho jak w ogóle całe jadło w Ameryce przygotowane. Amerykanin je bardzo mało: ciągłe troski, kłopoty, tytuń jaki bezustannie żuje, nareszcie użycie gorących napoi; to wszystko zmniejsza apetyt tutejszéj ludności.

W Folsomm znajduje się już tak, jak i w Saint-Francisco, chińskie przedmieście, oddzielnie stojąca gromadka brudnych, cuchnących chałup. Mężczyzni chudzi, biedni, brudni, napół ledwo odziani, brodzą po mieście szukając pracy. W ich żółtych brudnych twarzach maluje się, trudna do opisania osłupiałość. Przeciwnie kobiety wyglądając z okien z niedbałą apatyją dobrze utuczonych indyjskich gospodyń. Zachowały one miękkość i okrągłość form właściwą wszystkim klasom chińskiego społeczeństwa prócz biednych koolisów.

W okolicach Folsomma prowadzą jeszcze wydobywanie złota, lecz w tak małych rozmiarach, iż nie spostrzeglibyśmy tego, gdyby nam nie pokazano kopalnie w Plasser will. Przestrzeń pod roboty zajęta stanowi dno rzeki. Cała warstwa napływowa skopana, przebrana aż do tak zwanéj *martwicy*, którym to nazwiskiem oznaczają górnicy tutejsi wszystkie skały nie zawierające złota. Obecnie pracują gdzie niegdzie po brzegach, kontentując się małym zarobkiem. W kopalniach spotkać się można z Indjanami. Rozumie się, w sąsiedztwie kolei żelaznéj, parowego młyna i prelekcji o wstrzemięźliwości trudno się spodziewać dzikich. To też Indjanie kaliforniejscy nie są zupełnie do nich podobni. Odzieżą przypominają naszych polskich cyganów: twarz płaska, ogromna, czarnemi prostemi włosami ocieniona, oto niezbyt powabna powierzchowność.

Po obejrzeniu miasta zajęliśmy się przygotowaniem do dalszéj drogi. Gdybyśmy przybyli parę tygodni wprzód, trudności i niewygody byłyby większe. Należałoby się powierzyć tutejszym woźnicom prowadzącym dwukolitne wózki grożące na każdym kroku wywrotem. Lecz dziś dzięki Stage—company złe to usunięte zostało. Ekwipaże kompanii należały do wybornych krytych resorami opatrzonych powozów zabierających kilkanaście osób jednocześnie.

Nie będziemy opisywać szczegółowo naszéj podróży, ani też maleńkich niedogodności i towarzyskich śmiesznostek między pasażerami. Nie możemy jednak pominąć bez wspomnienia jednego z nich młodego Yanke, który należy do typów tutejszéj ludności. Wylęgły w błocie jakiéj Europejskiéj stolicy lub Starych Stanów, rozkoszuje się wpadłszy w wir tych błogosławionych okolic, gdzie nie ma jeszcze regularnéj żandarmerji, ani dobrze urządzonych więzień, które jedne są dla jego bezpieczeństwa wrogami. Broi więc lepiéj jak gdzie indziéj i ten rodzaj łotrów zastępuje tu funkcję złotéj młodzieży, jaka się jeszcze w Kaliforni nie wyrobiła.

(d. c. n.)

GOTOWALNIA.

Djamenty i Perły. Od czasów niepamiętnych, djament zajmuje pierwsze miejsce pomiędzy drogiemi kamieniami, powodem tego jest trwałość jego, rzadkość i nadzwyczajny odblask. Ze wszystkich ciał przezroczystych djament najbardziéj odbija w sobie światło. Tak jest twardy, że rysuje wszystkie ciała, sam zaś żadnem innem narysowany być nie może, do nadania mu kształtu używają tylko prochu z niego. Waży półczwarta raza więcéj od wody. Skład jego bardzo prosty: tworzy się z węglika, to jest z węgla oczyszczonego.

Od Newtona, który z własności optycznych djamentu wniósł, że jest ciałem palnem, od Lavoisiera i Dawy, którzy przez spalenie zamienili go w kwas węglowy, aż do dzisiejszych Chemików, którzy za wpływem silnego prądu elektrycznego, obrócili djament w prosty węgiel, wszyscy uznali jednomyślnie, że te dwa ciała, różnią się tylko między sobą odmiennym układem atomów.

Djament krystalizuje się zawsze w formie kubicznego ośmiokąta, kryształy jego są niekiedy nieregularne.

Znajdują się djamenty w Indjach, w Brazylji, i Syberji, w pokładach ziemi, utworzonych z dawnych skał, które woda skruszyła. Kopalnie djamentów w Indjach, znane od dawna, zaczęły być dopiero od trzech wieków regularnie exploatowane. W Dekanie w okolicach Golkondy, w Bengalu i na wysppie Borneo najwięcéj znaleść ich można. Miny brazylijskie odkryte w początkach XVII wieku, położone w Prowincji Minas Geraes, zasilają dziś w djamenty handel całego świata. Do Europy wchodzi ich corocznie, od pięciu do sześciu kilogramów, po oczyszczeniu, waga ich zmniejsza się do 160 lub 180 gramów.

Dobywanie djamentów w Brazylji, odbywa się w następujący sposób. Bryły kwarcowych w głębi których znajdują się djamenty, kruszą na drobne cząstki. Niewolnicy obmywają ten piasek w rezerwoarze, trzymając w ręku wanienkę drewnianą, obejmującą dwa lub trzy kilogramy owego piasku. Tak mają wprawne oko, że najmniejszy djamencik nie ujdzie ich uwagi. Kiedy niewolnik znajdzie djament woła na głos; „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" i oddaje go dozorcy. Jeżeli djament ma wielką wartość, niewolnik otrzymuje nagrodę, a niekiedy zostaje wolnym. Potrzeba jednak pilnego dozoru, gdyż niewolnicy umieją nieraz ukryć bogatą zdobycz na własny swój pożytek.

Diament został niejako odkrytym po raz drugi, gdy wynaleziono sposób szlifowania go, przez to bowiem nabiera on podwójnéj wartości. Zdaje się że szlifowano od niepamiętnych czasów djamenty, lecz sztuka ta długo była w kolebce. Od dawna sądzono, że Berquem z Brugi, w r. 1476 pierwszy wpadł na myśl szlifowania tych kamieni, później jednak przekonano się, że w spisie klejnotów Ludwika księcia d'Anjou, jest mowa o rzniętych djamentach, w końcu XIV wieku. Berquem wydoskonalił tylko ową sztukę.

Rznięcie odbywa się za pomocą sztabki stalowéj pokrytéj djamentowym prochem, która poruszając się szybko, szlifuje djament. Proszek otrzymać można z tarcia dwóch nieoczyszczonych djamentów o siebie.

W dwojaki sposób odbywa się dziś rznięcie djamentów, w różę i brylant. Małe djamenty szlifują w *różę* mają one z wierzchu kształt piramidalny, regularny trójkątny, spód zaś zupełnie płaski. Większe djamenty rznięte w brylant, nierównie lepiéj odbijają światło. U tych wierzch zerznięty bywa płasko, w koło zaś idą regularne trójkąty, i skośne czworoboki; spód tworzy piramidę, zeszlifowaną w górze otoczoną również trójkątami.

Kosztowna exploatacja kopalni i trudności w rznięciu djamentów, podnoszą wysoko ich cenę. Wartość tych kamieni zmienia się stosownie do ich przejrzystości, czyli wody, i do sposobu szlifowania. Djamenty nieoczyszczone, które z powodu plam używane są tylko na proch, płacą po 30 franków za karat. Djamenty również nieoczyszczone, lecz bez plam, warte są po 48 fr. za karat, jeżeli nie przechodzą téj wagi. Im większe tym wyższa stosunkowo ich wartość. Co do djamentów rzniętych, cena ich zależy od wielkości i sposobu obrobienia.

Najpiękniejszym ze znanych brylantów w świecie, jest niezaprzeczenie tak zwany *Rejent*, należący do korony Francuzkiéj. Znaleziono go na południe Golkondy. Przed obrobieniem ważył 410 karatów, po wyszlifowaniu zaś 137. Pracowano nad nim dwa lata. Jest to brylant najczystszéj wody. Kupiony był przed oczyszczeniem za 312,000 franków. Oszlifowanie kosztowało 125,000 fr. w r. 1717 Rejent królestwa, książe Orleanu kupił go za 3,375,000 franków. Dziś szacują go na 8,000,000.

Z pomiędzy innych sławnych w świecie djamentów, przytaczamy jeszcze następujące.

Djament Rajasa Mattann w Borneo, ważył bez oczyszczenia 318 karatów.

Nizam, własność króla Golkondy, nie jest wcale oczyszczony, waży 340 karatów, oszacowany 5,000,000 franków.

Góra światła ważył przed oczyszczeniem 186 karatów, bardzo jest wielki, lecz płytki.

W Xięcia Toskanji, który zdobi koronę Austrjacką waży 139 karatów. Ma kolor żółty i piękną formę, ostatni z Xiążąt Burgundzkich do którego należał, stracił go w bitwie pod Morat.

Gwiazda południowa, znaleziony przez murzynkę w r. 1853, w Prowincji Minas Geraes, ważył 254 karatów po oszlifowaniu 125. Należy do jednego z jubilerów Paryzkich.

Król Portugalski posiada jak mówią djament bajecznéj wielkości. Wielki jak kurze jaje, koloru ciemno żółtego; znaleziony był w Brazylji, waży 1680 karatów, ale wiadomości o nim niedokładne.

Opis deseni do haftu i rozmaitych wzorów służących do ubrania.

N. 1. Deseń na poszewkę.

N. 2. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rożkami.

N. 3. Mankiet.

N. 4. Szlak do chustki od nosa haftowany w połowie na obrębie, a w drugiéj połowie na pojedyńczéj chustce.

N. 5. Litery E. R. do znaczenia obrusów, poszewek i prześcieradeł.

N. 6. Litery A N — AD — HT — K P. do rozmaitego użytku.

N. 7. Suknia fularowa *bleu mexique* z wrabianemi słupami czarnemi, otoczone szlaczkiem perskim. (Sztuczki takie znajdują się w magazynie pani Kwiatkowskiéj po złp. 220.)

N. 8. Suknia popielata bareżowa z zielonem ubraniem u dołu. Kwadraty te także nie naszywane z wierzchu, ale stanowią jednolitą tkaninę z wyrobem sukni. (Sztuczka taka kosztuje złp. 80.)

N. 9. Szkic do kapelusza *Empire*.

N. 10. Kapelusz czarny kastorowy opasany takąż aksamitką.

N. 11. Wzór czesania głowy do opaski greckiéj.

N. 12. Wzór czesania głowy w innym rodzaju.

N. 13. Kapelusz biały bastowy z główką tiulową, przybrany piórem.

N. 14, 15, 16 i 17. Wzory rozmaitych kołnierzyków męzkich z krawatami.

N. 18. Fanszon z tiulu *cambré* obszyty koronką nad czołem, garnirowanie z gładkiéj illuzji, naszywane perłami kolorowemi.

N. 19. Czepek używany do koka, denko z illuzyi białéj przemarszczone w bufki i przepinane perłami krystalizowanemi. Szarfy i garnirowanie z koronki białéj i czarnéj z dodaniem kwiatów.

N. 20. Sukienka z alpagi popielatéj naszyta aksamitką czarną, kaftanik do figury otwarty z przodu, pod spód bluzka biała muślinowa.

N. 21. Kołnierzyk płócienny wykładany, haftowany na rogach z takiemiż mankietami, zapinanemi na guziki kolorowe.

N. 22. Kołnierzyk stojący z końcami, z wszywki haftowanéj przewłóczony aksamitką, obszyty koroneczką, do tego odpowiednie mankiety.

Opis dwóch mantylek szalikowych zwanych écharpe i stanika (Veste Valaque).

N. 1. Połowa mantylki. Mantylki te robią się powiększéj części z materjałów takich samych jak suknie lub z czarnéj materji. Fason wycięty w zęby oszywa się rulonikiem lub wypustką jedwabną kolorem stosownym jaki wypadnie do sukni, z pod spodu koronka szerokości 9 cali garniruję się w około prócz przodu, który zupełnie gładki wypustką lub rulonikiem oszyty. Druga mantyla większa garniruję się tylko w sposób jak jest spódnica u sukni garnirowana, gdy ta jest gładka wtedy mantylkę można oszyć gładką wstążeczką, aksamitką lub dokoła niezbyt szeroką ruszą.

N. 2. Połowa mantylki szalikowéj zwanéj écharpe.

N. 3. Całość mantylki szalikowéj.

N. 4. Całość mantylki z drugiéj strony.

N. 5. Przód stanika zwanego *Veste Valaque*. Staniczki te do sukien czy to z materyi czy to z wełnianych tkanin ubierają rozmaicie już to pasmanterją, już to aksamitkami, wstążeczkami lub innego koloru materyą.

N. 6. Połowa pleców. Środek pleców nie rozcinany.

N. 7. Boczek.

N. 8. Połowa rękawa.

DONIESIENIA.

KORRESPONDENCJA.

P. Lucjanowi Li. w Molnicy. — Na prenumeratę Tygodnika Mód odebraliśmy tylko złp. 26 gr. 20, — zatem prosiemy o nadesłanie reszty złp. 5.

Pani Z.—Tygodnik będzie wysełany w właściwym czasie jak najregularniéj.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 95G dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z opisem deseni do haftu i rozmaitych wzorów służących do ubrania oraz dwóch mantylek szalikowych zwanych écharpe i stanika (Veste Valaque).

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

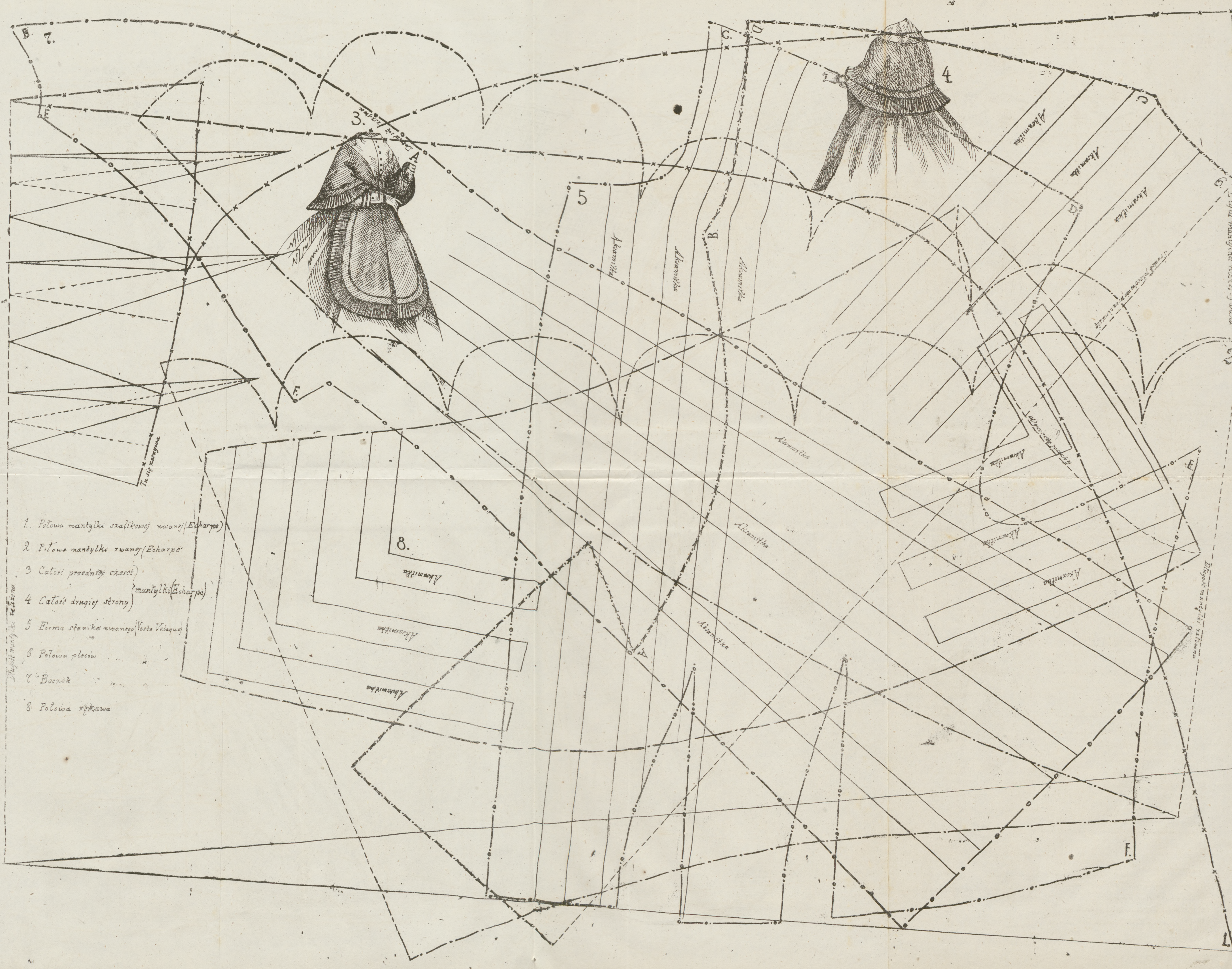


№147.

TYGODNIK MÓD

Mąc Sierpień 1865

1 Deseń na poszewkę
2 Kołnierzyk stojący z wykładanemi rożkami
3 Mankiet
4 Szlak do chustki od nosa
5 Litery E. R. do znaczenia obrusów
6 Litery A. N. A. D. H. T. K. P. do rozmaitego użytku
7 Suknia fularowa (Bleu méxique
8 Suknia popielata bareżowa
9 Szkic do kapelusza Empire
10 Kapelusz czarny kastorowy
11 Wzór czesania głowy
12 Wzór czesania głowy
13 Kapelusz biały bastowy z główką tiulową
14 Wzory rozmaitych kołnierzyków męzkich wraz z kraw...
15 " " " " "
16 " " " " "
17 " " " " "
18 Fanszon z tiulu kambre obszyty koronką
19 Czepek używany do koka
20 Ubranie 12to letniej panienki
21 Kołnierzyk z odpowiednim rękawkiem
22 Kołnierzyk z odpowiednim mankietem naszyty aksamitką


1. Połowa mantylki szalikowej zwanej (Echarpe)
2 Połowa mantylki zwanej (Echarpe
3 Całość przedniej części
4 Całość drugiej strony
mantylki (Echarpe)
5 Forma stanika zwanego (Veste Valaque)
6 Połowa pleców
7 Boczek
8 Połowa rękawa
Aksamitka